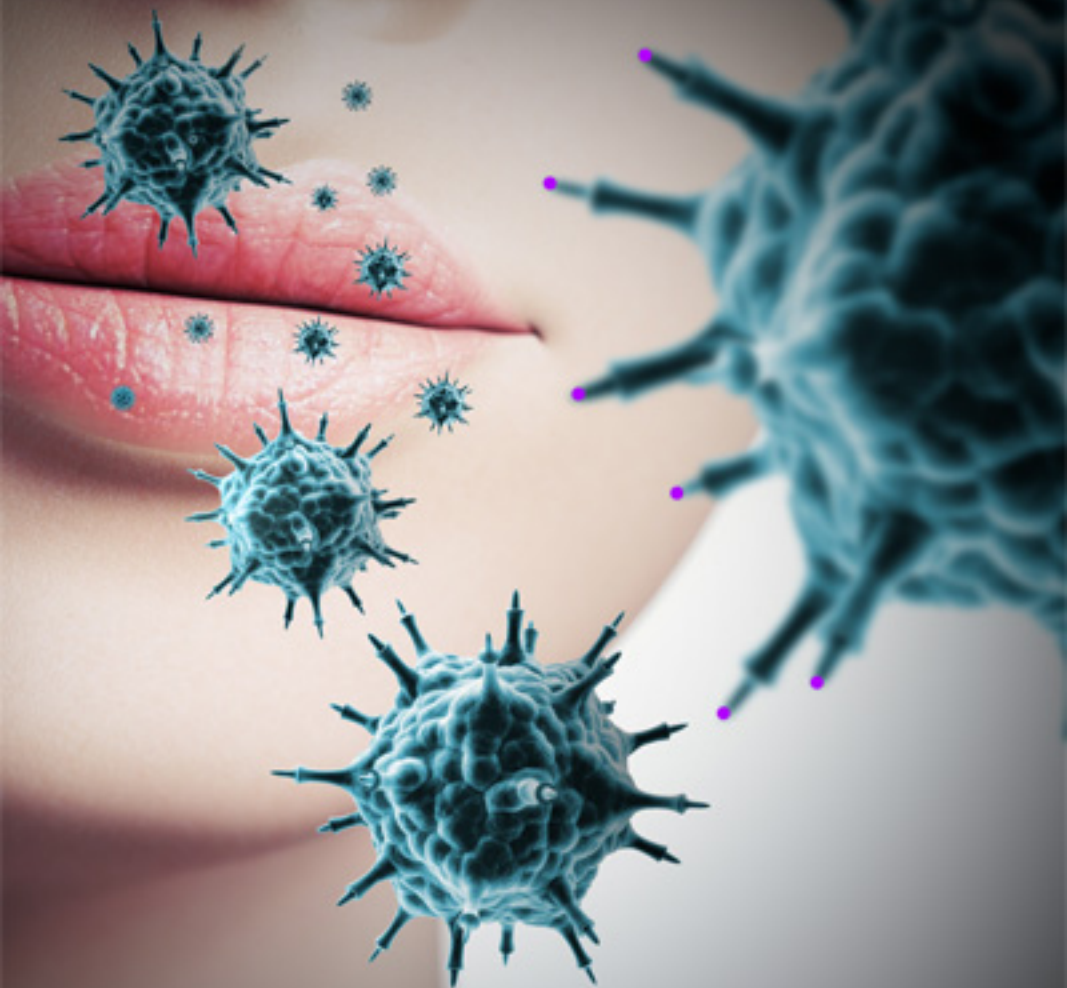


Leon Durka

INFLUENZA

WIRUS KONTRA ŻYCIE



Leon Durka

INFLUENZA

WIRUS KONTRA ŻYCIE



*Być może wszystko ma swój początek i koniec,
a być może każdy proces jest wycinkiem z rzeki płynącego
czasu; rozpoczyna się i kończy w pędzie jako część nieskoń-
czonego bytu.*

Leon Dreamer
filozof

Powieść dedykuję mojej żonie.

WSTĘP

Corocznie, między październikiem i marcem, wirusy grypy rozprzestrzeniając się po świecie, zakażają setki milionów ludzi. Od czasu do czasu mamy do czynienia z epidemią, obejmującą poszczególne kraje, a nawet kontynenty. Raz na kilka dekad występuje pandemia. Wówczas ofiary śmiertelne tego, pozornie niegroźnego wirusa, liczone są w setkach tysięcy, a niekiedy w milionach.

Wydaje nam się, że czas największych pandemicznych zachorowań mamy za sobą, ale nie jest to prawda. Niektóre typy wirusów typowych dla zwierząt goszczą obecnie w organizmach Homo sapiens, gdzie mają okazję spotkać się z patogenami ludzkimi. Po fuzji materiału genetycznego, z obydwu drobnoustrojów powstaje hybryda zakażająca człowieka, ptaki jak i inne zwierzęta. Zabójcza dla wielu gatunków. Odporna na szczepienia i dotychczas poznane leki. Przenoszona przez dzikie gęsi, łabędzie, bociany, wrony. Wszechobecna.

Panika jest nieuzasadniona. To, co będzie zakażać ze skutkiem śmiertelnym dopiero powstanie. Za rok, dwa, może pięć.

W powieści przedstawiony jest jeden ze scenariuszy, w którym z powodu bezmyślnej działalności człowieka, śmiertelnie groźna choroba przedostaje się do skupisk zamieszkałych przez ludzi. Cywilizacja otrzymuje poważne wyzwanie.

W książce ukazani są ludzie z różnych kultur; Amerykanie, Chińczycy, Arabowie, zasiedlający Syberię Ewenkowie. To od nich zależy, jak dalej potoczą się losy społeczeństw zamieszkujących Ziemię.

JAKUCJA

Postawny, skośnooki mężczyzna podniósł głowę. Podmuchał zimnego wiatru rozwiał jego długie, kruczoczarne włosy. W oddali majaczyły monumentalne, ośnieżone szczyty gór. Porośnięte modrzewiami doliny schroniły się w szarej mgłę. Otoczenie nie napawało otuchą.

Ewenk wszedł do jurty. Poczekał, aż wzrok przywyknie do ciemności. Na kilku warstwach zwierzęcych skór leżała młoda kobieta, jego żona. Jej ciało rozpalone gorączką było bezwładne. Od czasu do czasu majaczyła i wówczas spierzchnięte usta poruszały się bezgłośnie a ręce i nogi drgały konwulsyjnie.

Usłyszawszy odgłos kroków nagle usiadła, z trudem rozchyliła obrzmiałe powieki i błędnym wzrokiem rozejrzała się wokół. Przerażony mężczyzna podbiegł do kobiety z wyciągniętymi rękami. Chwycił go za nadgarstki i silnie zacisnęła na nich smukłe dłonie. Po raz ostatni spojrzała na ukochaną twarz, po czym osunęła się miękko na posłanie. Odeszła na zawsze...

Wojownik znieruchomiał. Żal ścisnął mu serce. Przed oczami pojawiły się obrazy z przeszłości, z ich wspólnego życia. Ich dzieci nie zdążyły jeszcze przyjść na świat. Gdyby je mieli, z pewnością pytałyby jedno przez drugie:

- Dlaczego mama ma takie czerwone, gorące policzki?
- Czy mama jest chora?
- Dlaczego szaman nie potrafi jej wyleczyć?

- Czy mama umrze?

Sam sobie zadawał te pytania i nie umiał znaleźć na nie odpowiedzi. Siedział taki bezsilny i bezradny. Życie nagle straciło dla niego sens. Wystarczyła chwila, by obedrzeć go z marzeń, złudzeń i nadziei. Dlaczego los pozostawił mu tylko cierpienie? Dotkliwy ból po stracie ukochanej osoby. Nie wiedział, co dalej. W środku czuł się zupełnie pusty. Bezsilność jest gorsza od śmierci. Szczególnie dla mężczyzny, dla wojownika.

Życie nigdy go nie rozpieszczało. Odkąd pamięta, walczył o przetrwanie. Ryzyko i ciężka praca to byli jego bracia. A teraz jeszcze ta choroba, którą z niziny przyniosła jego ukochana Edrwe.

Po wizycie u siostry w miasteczku nad rzeką Leną, opowiadała o nieszczęściu, jakie się tam wydarzyło. Ludzie obawiali się zimy, ponieważ nie zgromadzili wystarczających zapasów. Świnie, które chowali pozdychały. Potem przyszła kolej na drób. Ubrani w białe kitle ludzie, cały padły inwentarz zakopali w głębokim dole i zalali jakimś cuchnącym płynem.

Chwil radości w życiu jest tak niewiele. Aby przeżyć, wciąż konieczne jest zmaganie, wysiłek, poświęcenie. A i tak niektórym się nie udaje. Niektóre dzieci rodzą się martwe, inne nie przeżywają wieku niemowlęctwa. Wojownicy giną podczas łowów, lub, co gorsza, łamią kończyny. Są niedołążni starcy, którzy pomimo pomocy otrzymywanej od współplemieńców, giną od silnych mrozów. Na dodatek pojawiła się choroba, która zabiła jego ukochaną.

Wyszedł na zewnątrz. Fala gniewu zalała jego umysł i serce. Przeciwnik, który pokonał Edrwe, był niewidzialny, podstępny i bezlitosny. Nie potrafił z nim walczyć. Nie można go pokonać ani włócznią, ani nożem, ani nawet zaklęciami szamana.

Postanowił, że odejdzie z wioski. Los nie zwróci mu ukochanej kobiety a pozostawanie w tym miejscu będzie wciąż przypominać przeszłość i ranić duszę. Było mu wszystko jedno, co się z nim stanie. Chciał odejść i zapomnieć.

W osadzie pozostał jeszcze dwa dni. Pochował żonę i przygotował się do drogi w nieznaną. Najpotrzebniejsze rzeczy spakował w toból zrobiony z wilczej skóry. Pożegnał się z szamanem, wojownikami i wyruszył na północny zachód, w stronę gór. Już nigdy się nie dowiedział, że w dwa tygodnie po opuszczeniu wioski, wszyscy jej mieszkańcy byli zarażeni. W ciągu kolejnych dni poumierali i grupa przestała istnieć.

CHINY

Mętna, żółta woda obmywała burty małej, drewnianej łodzi. Siedzący w niej mężczyzna wiosłował rytmicznie. Każdy ruch wiosła wydobywał z dulek nieprzyjemny zgrzyt. Napis na dziobie informował, że łódka jest własnością lokalnego przedsiębiorstwa rybackiego. Niezrozumiałe dla Amerykanina chińskie symbole przypominały mu hieroglify,

choć nie miały z nimi żadnego związku.

Podczas kilku tygodni pobytu nad jednym z jezior w środkowej części wschodnich Chin, Charlesowi udało się opanować sztukę wiosłowania do perfekcji. Do tej pory wydawało mu się, że wystarczy wsiąść do łódki, chwycić za wiosła i rytmicznie uderzać nimi w wodę. Ale w praktyce okazało się to niemożliwe. Poznał technikę wiosłowania, dzięki czemu bąble znikły z jego dłoni, a poruszanie się po wodzie w dość szybkim tempie nie sprawiało trudności. Zyskał dzięki temu coś jeszcze, uznanie prostych rybaków, gdy uczciwie przyznał się do braku doświadczenia i poprosił o pomoc.

Obecnie jego zadanie oprócz umiejętności wiosłowania, wymagało dodatkowego wysiłku i precyzji. Do łódki, na grubej linie, doczepiono pokaźnych rozmiarów konstrukcję, która przypominała ogrodową altanę. Z pływającej podłogi wznosiło się osiem wsporników szczelnie otoczonych siatką. Utrzymywały one sporządzony z cienkich desek dach. Całość pomalowana była na ciemnozielono, w odcieniu przypominającym zarośla otaczające brzeg jeziora.

Charles doholował konstrukcję w pobliże roślin wznoszących się dwa metry nad powierzchnię wody i zacumował ją, wrzucając do jeziora połączoną z podłogą klatki łańcuchem, betonową trylinkę. Otworzył jedną ze ścian, a następnie na deski podłogi rozsypał kilka kilogramów karmy. Pułapka była gotowa. Teraz wycofają się na brzeg i będą czekać, aż ofiary przyzwyczają się do widoku obcego obiektu. Liczył, że potrwa to nie dłużej niż dobę. W końcu nadejdzie

taka chwila, kiedy łakome gęsi zignorują zagrożenie.

Po wyjściu na brzeg zwrócił się do swojego kolegi, także młodego Amerykanina.

– Gotowe. Trzymajmy kciuki Bob, aby ptaszki weszły do klatki.

– Pomysł jest dobry... miejmy nadzieję, że się powiedzie

– Bob dość ogłędnie, sapiąc przy tym, przedstawił własne zdanie. Z powodu znacznej otyłości, nawet najmniejszy wysiłek musiał okupić zadyszką.

– Do tej pory nam się udawało – dodał pewnym głosem, jakby chciał usprawiedliwić swoje wątpliwości.

Grubas podziwiał Charlsa, który mając zaledwie dwadzieścia siedem lat był już po doktoracie. Naukowiec wzbudzał szacunek nie tylko swym wyglądem, ale i postawą. Był świetnym organizatorem każdego przedsięwzięcia, miał dobry kontakt z ludźmi, dzięki wiedzy i doświadczeniu szybko zdobywał autorytet i stawał się automatycznie i nieformalnie niekwestionowanym liderem każdej grupy. Ludzie ufali mu i świadomie mu się podporządkowywali.

Po prawie miesiącu przygotowań, pułapka została zastawiona.

– Wystarczy zapomnieć o, wydawałoby się mało istotnym detalu i w konsekwencji misternie skonstruowany plan bierze w łeb. Podobnie jak domek z kart. Jeżeli nierówno postawimy choćby jedną z kart u podstawy, cała budowla runie.

– Będę się modlił, aby się nam powiodło. Mam już po-

wyżej uszu Państwa Środka.

– Nie rozumiem, dlaczego? Ludzie są tu mili. Nawet prości robotnicy z miejscowego kombinatu rybackiego na każdym kroku starają się nam pomagać. Również w sytuacjach, gdy nie muszą tego robić. Może już jutro odniesiemy sukces, a ty tracisz wiarę. Czego ci brakuje?

– Mc Donalda i KFC. Normalnego żarcia i świętego spokoju.

– Chłopie, przyjechałeś do Chin, aby zostać odkrywcą. Podziwiał przyrodę, wypróbuj nowe smaki egzotycznych potraw, poznaj inną kulturę i ludzi, którzy się w niej wychowali. Wykorzystaj okazję. Inni marzą o tym, by przyjechać tutaj chociaż na tydzień, a Ty dostałeś w prezencie kilka miesięcy.

– Oni są nienormalni! – wykrzyknął Bob. – Żywią się rybami z ryżem. Codziennie napychają się tym obrzydliwstwem. I do tego jeszcze zamiast porządnego widelca używają patyczków.

– Podziwiam ich. Bez cienia żalu przyjmują wszystko, co przynosi im los. Nie tracą przy tym dobrego humoru i potrafią cieszyć się z tego, co mają.

– Nieszczęśnicy.

– Raczej szczęściarze. To bardzo mądry ludzie.

– Róbmy, co do nas należy i spadajmy stąd.

– Jeżeli do klatki wejdzie tak z czterdzieści samców, obrączkujemy je i kończymy misję.

– A jeśli nie będzie tego minimum?

– Ja zostanę, aż złapię tyle, ile potrzeba. Ty możesz wracać. Już nie jesteś mi potrzebny.

- Nie musisz się zaraz obrażać na wywody pochodzące z mojego żołądka.

- Mówię serio. Nie ruszę się stąd, dopóty nie oznaczę czterdziestu samców.

- Ma się rozumieć - odpowiedział otyły mężczyzna i z rezygnacją zaczął obserwować przelatujące ptaki.

Chińczycy darzyli Charlsa szacunkiem. Już po pierwszych dniach współpracy zyskał sobie ich uznanie dzięki wiedzy, doświadczeniu, pewności siebie, umiejętności nawiązywania kontaktów. Było w nim jeszcze coś, dziwna, w ich mniemaniu, ciekawość świata i ludzi, która sprawiała, że stawał się otwarty, ciepły i wszystkim bliski. Wykształcony, z doktoratem, nie gardził towarzystwem prostych ludzi. Cenił w nich mądrość i praktyczne podejście do życia. Widział w nich ludzi, a nie maszyny do pracy. Nie przeszkadzało im, że zajmował się sprawami, które w bezpośredni sposób nie dają chleba. W odróżnieniu od żyjących w jeziorze ryb, ptaki nie stanowiły zdobyczy handlowej. Nie były także obiektem polowania. Mówiąc krótko, nie można było na nich zarobić. Ryby to co innego. Większe sztuki są sprzedawane do dużych miast, a nawet za granicę. Średnie stanowią podstawę pożywienia dla rybaków i ich rodzin, zaś małe można przerobić na paszę dla świń i kaczek.

Skonstruowanie pułapki zajęło tubylcom około tygodnia. Klatkę budowali po pracy. Wieczorami i nocą. Nie tyle chodziło im o dodatkowy zarobek, ile o uczestniczenie w niecodziennym przedsięwzięciu. Czuli się uhonorowani. Prości wieśniacy, ludzie bez wykształcenia, a właśnie im

zaproprowano wykonanie budowli według rysunków technicznych cudzoziemca.

Amerykanie od dwóch tygodni przygotowywali się do dokonania pomiarów. Charles opracował skład paszy, która miała zachęcić gęsi do przekroczenia granicy wrodzonej ostrożności i wejścia do pułapki. Z mączki rybnej i mąki ryżowej sporządził karmę, którą rozrzucali w pobliżu szuwar. Żółtawa masa o przykrym dla ludzi zapachu, była chętnie zjadana przez zamieszkujące jezioro Blaszkodziobe. Podobnie jak niegdyś, Bob wpadł w nałóg zaspokajania apetytu za pomocą niezdrowego, aczkolwiek smacznego jedzenia, tak teraz ptaki wodne, dzień po dniu, stawały się coraz bardziej uzależnione od cuchnącej papki.

– Łakomstwo musi przeważać strach – Charles znacząco podniósł prawą rękę, kierując palec wskazujący w kierunku nosa kolegi. – Wszystko mamy dopięte na ostatni guzik. Pozostaje uzbroić się w cierpliwość.

– Ja na ich miejscu nie wszedłbym do czegoś, co ma dach i zakrywa widok nieba.

– Już od trzech dni nie dostają swojego ulubionego papu. Nie oprą się pokusie. Ty też byś się nie oparł, jeśli poczułbyś zapach big macka albo innego macka, schowanego w sezamowej bułeczce i podlanego dużą ilością ketchupu.

– Mam dwie uwagi. Jedną emocjonalną i jedną logiczną.

– Zaczynaj od emocjonalnej. Tylko, proszę, nie używaj do tego wiosła. Mam twardą czaszkę, ale nie aż tak, by wytrzymała upust ekscytacji żarłoka.

- No właśnie. Jesteś okrutny.

- Jaka jest ta logiczna?

- To dzikie zwierzęta. Sądzisz, że przewyciężą strach?

Zdaje się, że osobniki bez instynktu samozachowawczego nie wytrzymały konkurencji na drodze ewolucji i dawno już zostały zjedzone przez drapieżniki. Na tym jezioroku unoszą się te, które posiadają zakodowany dystans do wszystkiego, co niesprawdzone.

- O ile mają poczucie smaku, złapiemy je.

- Oczywiście, jak zwykle masz rację - wycedził z wyczuwalną nutą cynizmu w głosie Bob. - Zawsze ci się udaje, dlaczego teraz miałoby być inaczej? - dodał już spokojniej.

- Sprawdzimy za kilkanaście godzin. Zawsze jest możliwość, że czegoś nie przewidziałem.

- Istotnego detalu, który może wszystko zepsuć - mięsiste usta powtórzyły zasłyszaną kiedyś myśl doktora. - I co wtedy?

- Zmodyfikuję to, co kuleje i ptaszki usidlę za kilka dni.

Do Amerykanów podeszły dwie osoby. Mężczyzna w sile wieku i młoda kobieta. Obydwoje mieli wyraźne azjatyckie rysy. Youan, bo tak miała na imię, była młoda i atrakcyjna a przy tym inteligentna i pracowita. Dzięki wytrwałości i właściwym, sumiennym podejściu do nakładanych przez uczelnię obowiązków, stała się człowiekiem sukcesu. Po ukończeniu Uniwersytetu w Los Angeles, zaproponowano jej stanowisko asystenta na Wydziale Zoologii i kartę stałego pobytu w USA. Z oferty skorzystała. Żyjąc w dobrobycie, tęskniła za Chinami. Raz w roku, mo-

gła sobie pozwolić na jeden, trzytygodniowy pobyt u rodziców. Wszystkimi zmysłami wówczas chłoneła klimat rodzinnych stron. Za wszelką cenę chciała go zachować w pamięci, by móc odtwarzać bliskie sercu obrazy, ale także zapachy – w szczególności aromat przygotowywanego przez matkę jedzenia. Wszystko, czego nie znajdzie w wielkim mieście zurbanizowanego kraju Północnej Ameryki, gdzie chińskie potrawy smakują inaczej. Dzięki przedsięwzięciu Charlesa, mogła przebywać w rodzinnych stronach przez prawie trzy miesiące. Lubiła ludzi. Ze względu na otwartość szybko zyskiwała przyjaciół. Osoby, z którymi była blisko, mogły zawsze na nią liczyć. Youan z wrodzonym wdziękiem, uśmiechnęła się do Amerykanów. Lekko mrużąc oczy, zwróciła się do postawnego młodzieńca:

- Jeżeli projekt ma się udać, musisz się pospieszyć.
- Co się dzieje? – zapytał z obawą w głosie.
- Główny Lekarz Weterynarii Okręgu otrzymał polecenie zlikwidowania ptactwa wodnego we wszystkich okolicznych gospodarstwach rybackich. Przydzielono mu oddział specjalnie przeszkolonych żołnierzy. Za kilka dni rozpoczną się działania.
- To żart?
- Znasz mnie dobrze. To nie w moim stylu.
- To na pewno jest nieporozumienie. Niemożliwe, aby ktokolwiek podjął taką niedorzeczną decyzję. Skąd masz te informacje?
- Od wuja Dena – wskazała na Chińczyka, z którym

przyszła. – Jak wiesz, Den jest kierownicą dyrektora tutejszego przedsiębiorstwa. Wczoraj zwołano naradę wszystkich zarządców. Pomimo, że wujek w spotkaniu nie uczestniczył, usłyszał, co trzeba.

Dziewczyna powiedziała kilka krótkich zdań w lokalnym narzeczu. Skośnooki robotnik słuchał z lekko rozchyłonymi wargami, jakby chciał złapać poszczególne dźwięki do ust. Gdy skończyła, skierował spojrzenie na Charlesa i zaczął szybko mówić. Naukowiec, mimo, że nic nie rozumiał, słuchał z uwagą. Kilkakrotnie pochylił głowę, co miało potwierdzać zainteresowanie wypowiedzią tubylca. Gdy monolog dobiegł końca, Chinka zaczęła tłumaczyć. Decyzję likwidacji ptactwa podjęto ze względu na groźbę przeniesienia na ludzi ptasiej grypy. Niecałe sto kilometrów stąd, na sąsiednim pojezierzu, pojawiło się kilka przypadków zachorowań wśród żyjących na wolności Blaszkodziobych. Mogą one stać się źródłem zakażenia dla obywateli naszego Okręgu. Grupa specjalna rozpocznie działanie za kilka dni.

– Zapytaj wujka, w jaki sposób chcą wybić tak liczne stada. Według moich szacunków nad pobliskimi jeziorami bytuje ponad półtora tysiąca gęsi należących do kilku podgatunków.

– Zostaną otrute – wyjaśniła. – Żołnierze rozrzucają karmę zawierającą truciznę. Sztuki martwe zbiorą i wywiozą w miejsce, gdzie poddane zostaną kremacji.

– Macie tu krematoria?

– Spalą je, uprzednio polawszy benzyną – powiedziała podniesionym głosem. – Czy takie wytłumaczenie ci wystarczy?

czy?

– To nie ma sensu – zdenerwował się Charles. – Najpierw należy sprawdzić, co jest przyczyną; jeżeli nawet jest to ptasia grypa, to trzeba pamiętać, że tylko niektóre wirusy mogą rozwijać się w organizmie człowieka. Poza tym, wymordowanie niewinnych zwierząt nie jest metodą mogącą zapobiec epidemii. Obecnie, wszystkie gatunki skrzydlatych mieszkańców okolicznych jezior przygotowują się do migracji. Wkrótce będzie można zobaczyć pierwsze klucze zdążające na północ, w kierunku miejsc lęgowych. Pomijając bezduszność zaplanowanej akcji, to się nie uda.

– Dlaczego? Sam stosujesz wabienie karmą.

– Osobniki chore nie jedzą. Nie mają łaknienia. Otrute zostaną tylko te zdrowe. Ponadto, ludzie uczestniczący w pacyfikacji zostaną narażeni na zakażenie. Skutek może być odwrotny. Zamiast powstrzymać zagrożenie, zostaną stworzone warunki do jego rozprzestrzenienia. Musimy coś przedsięwziąć.

– Tylko co?

– Pojadę do Okręgu i wyjaśnię urzędnikom, jaki robią błąd. Będiesz moim tłumaczem.

– Zjawisz się w urzędzie, jako kto? Przedstawiciel trzyosobowej grupy ornitologów, którzy chcą zaobrączkować kilkadziesiąt samców gęsi zbożowej. To nic nie da.

– Muszę spróbować – nie dawał za wygraną.

– Dobrze, ale odłóżmy to do jutra – zaproponowała po chwili namysłu. – Aby władza zechciała nas przyjąć, musimy być zaanonsowani.

- Kto mógłby to zrobić?

- Dyrektor przedsiębiorstwa, któremu podlegają okoliczne akweny wodne, gdzie robimy badania.

- Wyprawa do miasta pokrzyżuje plany schwytania ptaków – wtrącił Bob.

- Wyruszymy z samego rana. Nie sądzę, aby do czasu naszego powrotu z miasta, zwierzęta weszły do klatki. To prawdopodobnie nastąpi dopiero po południu, a może nawet w dniu następnym – pewny męski głos nie pozostawił wątpliwości, co będą robić.

- Mam pewien pomysł – spontanicznie powiedziała dziewczyna, zanim zdołała ugryźć się w język. Niepotrzebnie się wygadała. To, co przyszło jej do głowy, owszem, było warte rozważenia, aczkolwiek nie teraz. Musiała bardzo delikatnie wycofać się z wyjaśnień.

- Jaki? – spytał mężczyzna, delikatnie kładąc swoją dłoń na jej ramieniu.

- Powiem ci jutro, po wizycie u lokalnych władz – odpowiedziała wykrętnie.

- A czemu nie teraz? – jego głos wyrażał zdziwienie.

- Aby twoja jankeska zapalczywość czegoś nie zepsuła.

- Sądzisz, że nie potrafię opanować emocji?

- Jesteś pełnym energii fascynatem. Przedsięwzięcie, w które jesteś zaangażowany od roku, nagle może skończyć się fiaskiem. Sam nie wiesz, co może się stać z, jak to nazwałś, opanowaniem emocji.

Miała nadzieję, że naprędce wymyślone wytłumaczenie zakończy temat. Tym bardziej, że brzmiało przekonują-

co.

– Nie chciałbym utracić z trudem zdobytych rezultatów. Wszyscy włożyliśmy w projekt sporo wysiłku. Jeśli wymyśliłaś coś, co nam pomoże...

– Proponuję ci pomoc, jednak to mój pomysł, mam więc do niego wszystkie prawa – wyrzuciła z siebie zdenerwowanym głosem. – Wyłącznie. Sama zdecyduję, w jaki sposób wprowadzić go w życie. Ty możesz tylko przeszkodzić. Będziesz chciał zorganizować wszystko po swojemu, zamiast zdać się na kobietę doskonale znającą tutejsze uwarunkowania. Przez kilka minut stali naprzeciwko siebie w milczeniu. Obydwoje wiedzieli, że się zagalopowali. Pierwszy odezwał się Charles:

– Przepraszam, jeśli cię uraziłem. Obiecuję pełne podporządkowanie się doświadczeniu uroczej Youan. Nawet, jeżeli zechcesz, abym wyszedł z kijem naprzeciw uzbrojonomu oddziałowi żołnierzy, nie mrugnę okiem – roześmiał się szczerze, rozładowując nabrzmiałą atmosferę.

Dyrektor spokojnie wysłuchał tłumaczenia dotyczącego ptasiej grypy i niebezpieczeństwa, które ona niesie. O nic nie spytał, niczego nie skomentował. Nie interesowało go, skąd ludzie, którzy odwiedzili go bez wcześniejszej zapowiedzi, wiedzą o całej sprawie. Było oczywiste, że im nie pomoże. Za to bez zmużenia oka wykona polecenie zwierzchników. Właśnie dlatego jeszcze zajmował to stanowisko, bo się nad tymi poleceniami nie zastanawiał. Odpowiadał za ludzi, za sprzęt, za połowy, za cudze decyzje na szczęście nie musiał. Niech się tym martwią wyżej. Wziął

słuchawkę telefoniczną do ręki i wykręcił numer. Rozmowa trwała krótko. Przekazał swym gościom informację, że zostaną przyjęci przez sekretarza partii, który piastował także funkcję naczelnika okręgu. Ze swojej strony zaproponował im transport, samochód z kierowcą na cały jutrzejszy dzień.

Miasto, w którym Naczelnik miał swoją siedzibę, na pierwszy rzut oka nie wyglądało zbyt okazale. Oficjalne dane mówiły o ponad stu tysiącach mieszkańców. Amerykanie zastanawiali się, gdzie oni mogą się pomieścić? Co prawda, aglomeracja rozciągała się na wiele kilometrów, ale niska zabudowa dawała ograniczone możliwości lokalowe. Innym zaskoczeniem był ruch uliczny. Użytkownicy dróg zachowywali się tak, jakby nie obowiązywały ich żadne przepisy ruchu drogowego. Parkowali tam, gdzie chcieli. Potrafili zatrzymać się na środku jezdni, by wypuścić pasażera. Wciąż słychać było dźwięki klaksonów. Zachowanie kierowców samochodów było niczym w porównaniu do tego, co wyczyniali rowerzyści. Rowery przemieszczały się w każdym możliwym kierunku, zarówno wzdłuż, pod prąd, jak i w poprzek jezdni. Zwinne skutery wykorzystywały każdą możliwą lukę, wciskając się pomiędzy ciężarówkami, jakimś cudem tylko unikając kolizji i zmiżdżenia. To, co białym wydawało się niemożliwe, było faktem; kolizje na ulicy należały do rzadkości. Bob stwierdził, że nad tym bałaganem musi czuwać jakieś bardzo sprytne bóstwo, inaczej bowiem, bezpieczne poruszanie się w chińskim mieście byłoby w ogóle niemożliwe. Opatrzność czuwała również nad wujem Denem, który starał się nikomu nie ustępować i jechał tak szybko, jak tylko mógł. Bez żadnej niespodzianki

dowiózł ornitologów pod budynek, w którym mieli umówione spotkanie.

Usiedli w pomalowanym na zielono, obszernym pokoju. Zajęli miejsca po jednej ze stron masywnego, drewnianego stołu. Po drugiej jego stronie spoczął Naczelnik, lekarz weterynarii oraz dowódca jednostki wojskowej w stopniu pułkownika. Podobnie jak na spotkaniu z dyrektorem i tym razem, nikt nie zainteresował się, skąd naukowcy wiedzą o decyzji wytępienia gęsi. Było ważne, że są ornitologami, fachowcami, którzy mogą ułatwić wykonanie rozkazu. Tylko z tego powodu zostali zaproszeni na to spotkanie.

Przed gośćmi postawiono koszyk ze słodyczami oraz ryżowe ciasteczka. Pierwszy kwadrans upłynął na ogólnej rozmowie o pracy w Stanach i badaniach w Chinach, o wrażeniach z pobytu i planach na najbliższe tygodnie. Po tym wstępie głos zabrał pułkownik. Zrelacjonował w dużym skrócie cel, który władze wyznaczyły dowodzonemu przez niego oddziałowi wojska.

- Aby oczyścić okoliczne tereny z potencjalnie zakaźnych organizmów, niestety, trzeba wybić liczne stada. Musimy się spieszyć, bowiem już niedługo gęsi odlecą na północ, do miejsc, gdzie zniosą jaja i wychowają potomstwo. W ten sposób pojawi się kolejne pokolenie roznosicieli śmiertelnie groźnych patogenów. - tłumaczyła Youan.

Wojskowy był pewny, że jego intencje zostaną dobrze odebrane i obcokrajowcy zechcą służyć mu pomocą. W tym przypadku cel uświęca środki. Życie i zdrowie ludzi jest najważniejsze.

Ponownie usłyszeli informacje przekazane uprzednio przez wuja Dena i potwierdzone w osadzie rybackiej. Po wywodzie pułkownika głos zabrał Charles.

- To, co chcecie zrobić, nie jest konieczne, by zapobiec ptasiej grypie. Ptaki należy złapać i zbadać te chore. Zastosować testy wykrywające szczep wirusa, którym są zainfekowane. To da odpowiedź na temat skali problemu.

Wojskowy z uwagą wysłuchał tłumaczenia kobiety.

- Dziękuję za radę. Na nic ona się jednak nie zda. Zagrożenie dla ludzi istnieje. To już wiemy. Chcemy szybko i sprawnie pozbyć się zamieszkujących okolicę nosicieli zarazków. O tym teraz będziemy rozmawiać.

- Nie ma konieczności niszczenia całej kamienicy, aby zlikwidować kilka szcurów zamieszkujących piwnicę - zachnął się Charles.

Pułkownik wie, co mówi - szybko odpowiedziała dziewczyna. - On nie będzie z nami negocjował. Otrzymał rozkaz i go wykona. My zaś mu w tym pomożemy.

- Oszalałaś? - wtrącił Bob. - Nie możemy na to pozwolić!

- On ma swój cel, a my swój. Pomagając mu, zyskujemy czas do namysłu, jak każdy z tych celów zrealizować. Tylko my wiemy, że cele te są ze sobą sprzeczne.

- Nie rozumiem, przed chwilą powiedziałaś, że nic nie wskóramy - zauważył Charles.

- To prawda. Uporem niewiele zwojujemy. Sprytem więcej. Musicie mi teraz zaufać. Zajmę się tym, co w Ameryce nazywacie negocjacjami. Nie będę teraz robiła Wam za

tłumacza, nie przerywajcie mi i nie przeszkadzajcie, później Wam wszystko wyjaśnię.

– To po co przyjeżdżaliśmy na to spotkanie? – zapytał grubas.

– Z jedną, młodą kobietą, nie chcieliby rozmawiać. Dzięki spotkaniu z delegacją z innego państwa czują się dowartościowani.

– Co kombinujesz? – zapytał Charles z obawą w głosie.

– Jak tylko uda mi się załatwić pewną sprawę, dowiecie się wszystkiego.

Kobieta i trzech Chińczyków przez kolejne pół godziny prowadzili ożywioną dyskusję. Dziewczyna zachowywała się tak, jakby uczestniczyła w trzech pojedynkach jednocześnie. Z pułkownikiem, naczelnikiem i weterynarzem. Dźwięczne, śpiewne słowa wypełniały pomieszczenie. Wskazywała na swoich kolegów i lekko podnosząc głos, zdawała się przekonywać o czymś swoich rozmówców. Co jakiś czas opuszczała wzrok, wpatrując się w podłogę. Kiedy skończyli, skośnoocy mężczyźni wstali i podeszli do Amerykanów. Wymienili uściski dłoni w połączeniu z energicznym kiwnięciem głowy i pożegnali przybyłych.

Gdy byli już sami, kobieta uśmiechnęła się szeroko, pokazując dwa rzędy równych zębów. Zanim zdecydowała się na udzielenie wyjaśnień, przetrzymała ciekawskich kolegów jeszcze przez minutę.

– W oczach urzędników zyskaliście bardzo wiele – zaczęła. – Potrząsanie waszymi dłońmi, ukłony i głośne pozdrowienia to podziękowania.

- Za co? - zdziwił się Charles.

- Za deklarację współpracy. Powiedziałam im, że chcecie zaangażować się w pomoc. Wyjaśniłam, że plan, który mają, nie jest najlepszy. Karma zawierająca truciznę, owszem, będzie skuteczna, lecz przy okazji związki toksyczne dostaną się do wody. Ryby zostaną zatrute. Nie dość, że będą zmuszeni wstrzymać połowy, to, kiedy je już po zakończeniu karencji rozpoczną, populacja ryb ulegnie znacznemu zmniejszeniu. Gospodarstwom zajmującym się rybactwem śródlądowym zagrozi upadłość. Pozostaje jeszcze niebezpieczeństwo spożycia zatrutego mięsa przez ludzi.

- Hm... sam lepiej bym tego nie wymyślił.

- Miło słyszeć pochwałę ze strony szefa - kokieteryjnie zamruwała oczami.

- Jaki to ma związek z nami? - głośno zastanawiał się Bob.

- Moi amerykańscy koledzy skonstruowali specjalną pułapkę, w którą można będzie złapać dzikie gęsi i innych skrzydlatych mieszkańców jezior. Zdobywczy zostanie przewieziona do oddalonej od siedzib ludzkich, małej rybackiej zagrody i tam zlikwidowana. Oni chcą, abyście zaczęli tak szybko, jak to tylko możliwe.

- To się nie uda. Do naszej pułapki zmieści się około dwieście osobników. Na okolicznych wodach żyje ich kilkanaście setek.

- Lokalna władza chce spróbować. Nie powinniśmy odmawiać.

- Jeżeli ptaków jest powiedzmy tysiąc pięćset, a do

klatki jednocześnie wejdzie sto pięćdziesiąt, to trzeba by zastawić ją dziesięć razy.

– Zakończymy za dziesięć dni. Teoretycznie, rzecz jasna.

– Za dwa tygodnie rozpocznie się migracja. Według wyliczeń zdążymy. Praktycznie nie, gęsi bowiem potrzebują oswoić się z nieznanym im obiektem, zanim do niego wejdą. To nie wrzucanie kartofli do worka, sama to wiesz.

– Moja wiedza zależy od tego, komu ją przedstawiam. Na użytek naczelnika wykonałam proste działania arytmetyczne.

– Przez co wprowadziłaś lokalną władzę w błąd.

– Jeśli opracowana przez ciebie metoda okaże się skuteczna, polecą skonstruowanie kolejnych klatek, co przyspieszy pacyfikację.

– Nie jestem zabójcą i nie będę uczestniczył w tej egzekucji! – wykrzyknął Amerykanin.

– Sprawdza się to, co mówiłam wczoraj. Twoje emocje mogą wszystko zepsuć.

– Co zepsuć? Wygląda na to, że nadchodzi dzień sądu ostatecznego dla tych niewinnych stworzeń..

– Charles, nie unos się tylko posłuchaj cierpliwie i postaraj się zrozumieć. Do pułapki złapiesz tyle osobników, ile się w nią zmieści. Zaobraczkujecie wybrane samce i umieścicie na przystosowanej do przewozu drobiu ciężarówce, która z kolei przewiezie je na rzeź. Po drodze mogą zdarzyć się różne przypadki. Nieco zmienione miejsce docelowe i sfałszowane zlecenie transportowe załatwi nam wszystko.

Den jest świetnym kierowcą. Pojedzie znaną tylko sobie drogą. Będziesz miał szansę, aby twoje gąski odleciały gdzieś na Syberię, gdzie samice zniosą jaja i wyprowadzą młode.

– To, co proponujesz, to przestępstwo. Jeśli się wyda, będzie z nami krucho.

– Sam zdecyduj, co jest dla Ciebie ważniejsze. Jeśli się boisz, ja się tym zajmę.

– Dlaczego chcesz podjąć tak duże ryzyko?

– Oni mają rację. Naczelnik, weterynarz i wojskowy. Gęsi przenoszą dziwny typ wirusa grypy. Można przypuszczać, że ów mutant pojawił się w miejscach lęgowych, a tam odlecą nasze ptaszki. Dobrze by było wiedzieć, gdzie to dokładnie jest.

– Kim ty jesteś?

– Na imię mam Youan i jestem ornitologiem.

– Chcesz zostać bohaterem?

– Charles, mamy do zrobienia coś ważnego. Zaufaj mi.

Wchodzisz w to, czy nie?

– Nie wiem, co o tym myśleć.

– Na myślenie jest już za późno. Trzeba działać.

– Czy twój wujaszek jest wtajemniczony w tę całą konspirację?

– Spełni moją prośbę.

– Jesteś pewna?

– To doświadczony kierowca. Jeden lewy kurs to dla niego przysłowiowy pryszcz.

Bob słuchał jak zahipnotyzowany historii, w którą zostali bezwiednie wciągnięci, i która przypominała fabułę

sensacyjnej powieści. Jeżeli Chińczycy nabiorą podejrzeń, będą mieli poważne kłopoty.

– Bob, ty mam nadzieję nie masz nic przeciwko naszym zamiarom – jakby na przeproszenie za pominięcie kolegi powiedziała Chinka. – Od naszej determinacji, uwierz mi, zależy bardzo dużo.

Chłopak tylko znacząco machnął ręką.

– Chcę tylko ocalić możliwie największą liczbę ptaków – zdecydowanym głosem powiedział Charles. – Podjąłem decyzję. Wchodzę w to, niezależnie od tego, jaki tobie przyświeca cel.

Dziewczynę na chwilę zamurowało. Popatrzyła przenikliwie w inteligentne oczy swojego rozmówcy, zastanawiając się, co miał na myśli. Tak, jakby podejrzewał, że oprócz tego, że jest ornitologiem, ma również inne, konfidencyjne zadania.

– Musimy tak postępować, aby uwolnić maksymalnie dużą liczbę gęsi – Amerykanin powtórzył swoją poprzednią myśl. – Na tym powinniśmy oprzeć strategię działania. Jeden transport. Około stu – stu pięćdziesięciu samców. Więcej się nie da.

– Zdołamy sprawdzić, gdzie one polecą? – zapytał Bob, ocierając pot z czoła.

– Tak, dzięki metodzie Charlesa. Nasz kolega opracował, nazwijmy to, elektroniczną obrączkę – Chinka sięgnęła do plecaka, z którego wyjęła szarą rurkę o niewielkiej średnicy i długości około trzech centymetrów. Po założeniu na nogę ptaka, dociskamy i po sprawie. W miękkim plastiku zatopio-

ne są miniaturowe urządzenia elektroniczne. W przypadku zadziałania na nie fal radiowych o określonej częstotliwości, zostają one pobudzone do wysyłania impulsów elektromagnetycznych. Działają jak nadajnik. Emitowane przez obrączki fale wskażą miejsca bytowania gęsi.

– Niesamowite! Czemu do tej pory trzymałeś swój wynalazek w tajemnicy?

– Zdaje się, że nie ma jakiejś tam zgody na jego zastosowanie. – wyjaśniła dziewczyna. – ot biurokratyczny zator. – Co nie znaczy, że nie chciał podjąć próby, aby zezwolenie uzyskać, prawda Charles? – dodała, marszcząc przy tym nos.

– Teraz to nie jest istotne. Założymy wszystkie OOP, które posiadamy.

– Co oznacza OOP? – zaciekawiał się Bob.

– Obrączka Określająca Pozycję – wytłumaczył pomysłodawca. – Niestety, będą pewne niedogodności z namierzeniem posiadaczy nadajników w miejscach lęgowych. OOP działa na odległość kilkuset metrów. Pierwotnym zamierzeniem ich zastosowania było odnalezienie tych samych osobników nad chińskimi jeziorami w przyszłym roku.

Zamiast łapać wszystkie i sprawdzać metalowe obrączki, chciałem ułatwić sobie pracę.

– W jaki sposób namierzemy obiekty – o to zdaje się nie musimy się teraz martwić. – zabrała głos dziewczyna. – To tylko kwestia kosztów. Lepiej zastanówmy się nad planem działania. Tak właściwie to już go opracowałam i chciałam go z wami omówić.

Zbliżał się wieczór. Popołudniowe słońce wisiało nisko nad horyzontem, częściowo przesłonięte cienką warstwą chmur. Wyglądało jakby świeciło przez półprzezroczystą zasłonę. Gdy sięgnęło linii horyzontu, na jego zachodzącej, ciemnoczerwonej tarczy można było ujrzeć sylwetkę jadącego na rowerze człowieka. Charles nie mógł oderwać oczu od wciąż powiększającej się postaci. Wyglądało to tak, jakby rowerzysta wyjeżdżał wprost ze słońca. Dopiero, gdy zsiadł z roweru, Amerykanin rozpoznał w nim pułkownika. Potrzebował tłumacza, zaś Youan pływała po jeziorze. Zbierała karmę znajdującą się w pobliżu unoszącej się wśród trzcin klatki. Spocony z wysiłku Bob wiosłował. Unikali jakichkolwiek gwałtownych ruchów i głośniejszych rozmów, aby nie spłoszyć ptaków. Z rozmową musieli poczekać na jej powrót. Charles na migi zaproponował gościowi herbatę i teraz w milczeniu delektowali się aromatycznym płynem.

Ubrany po cywilnemu oficer siedział wyprostowany. Luźna, kwiecista koszula wyraźnie odcinała się od spodni w kolorze zgniłej zieleni. Na nogach miał rzemieńne sandały. Wyglądał zupełnie inaczej niż jeszcze kilka godzin temu, ubrany w mundur Armii Lądowej Chińskiej Republiki Ludowej. Nie przyjechał więc tu służbowo, co dobrze wróżyło. Pomimo delikatnego siorbania i wymiany niemych uprzejmości, atmosfera była nieco napięta.

Youan swoim zwyczajem, cicho weszła do zajmowanej przez naukowców kwatery. Po przywitaniu gościa, nie przejmując się jego obecnością, poszła się przebrać i umyć.

Kiedy wróciła, dołączyła do pijących kolejną już porcję herbaty mężczyzn. Zaczęła rozmowę z oficerem, nie tłumacząc jej Charlesowi. Poczul się intruzem i wyszedł do drugiego pokoju. Położył się na łóżku i zamknął oczy. Zdążył już poznać zwyczaje panujące w Chinach. Z tego, że został pominięty w rozmowie, wynika tylko, że temat nie dotyczy ani jego, ani ptaków. Z sennych marzeń wyrwał go głos dziewczyny.

– Pobudka przystojniaku, wstawaj! – zawołała wesoło.

– Idziemy na koncert. Mamy zaproszenie od pana pułkownika. W dniu dzisiejszym, jak co dzień, w miejskim parku koncertuje amatorskie towarzystwo śpiewacze.

– Na czym będą grać?

– Zdaje się, że nie mają instrumentów. Będzie tylko śpiew.

– Nie spodziewałem się, że nasz wojskowy jest utalentowany.

– Myślę, że zaprosił nas na dzisiejszy wieczór, bo czuje się winny nadchodzącej masakry gęsi. Chce, abyśmy dostrzegli w nim nie tylko oficera, ale też wrażliwego człowieka. Powiedział mi, że owe Towarzystwo Śpiewacze to po prostu grupa kilkunastu osób, którzy lubią śpiewać. Spotykają się każdego dnia, zaraz po zmroku.

– Wobec tego ruszajmy – powiedział Amerykanin, kierując się w stronę drzwi.

– Nie zabierzemy naszego grubiutkiego pupilka?

– Boba? On nie rozróżnia operowej arii od odgłosu od-rzutowca. Niech zostanie w terenie i pstryka fotki – odpo-

wiedział przekornie.

Żart spodobał się dziewczynie. Bob, choć był miłym człowiekiem, sprawiał wrażenie, jakby miał przytępione zmysły. Rzecz jasna poza smakiem, który rozwinął się u niego nadmiernie. Aby zaspokoić łaknienie, pochłaniał ogromne ilości jedzenia i popijał litrami gazowanych, słodzonych napojów.

Park Miejski otoczony był wysokim murem. Bez problemu przeszli przez otwartą na oścież bramę. Zaraz po przekroczeniu granicy ogrodu odnieśli wrażenie, jakby znaleźli się w innym świecie: zadbane klomby, gęste, soczyste zielone drzewa i szerokie, dobrze oznaczone ścieżki. Na jednym z placów odnaleźli grupę kilkunastu osób w różnym wieku, śpiewających żywołowo, ujawniając swoje wrodzone talenty. Grupą nikt nie dyrygował. W pewnym momencie Youan spontanicznie przyłączyła się do zespołu. Gdy skończyli, Amerykanin głośno chwalił wspaniały koncert. Nikt nie miał wątpliwości, że śpiew bardzo mu się podobał. Chórzyści zaczęli się rozchodzić, życząc sobie dobrej nocy. Pułkownik pożegnał się, dodatkowo podając ornitologom rękę. Rozpierała go duma.

Zielony domek powoli zappełniał się osobnikami obojga płci gęsi pstrej. Przerwa w podawaniu śmierdzącej dla ludzi, nie mniej uwielbianej przez skrzydlatych lokatorów okolicznych szuwar karmy, wzmogła łaknienie. Pierwsze ptaki weszły do pułapki ostrożnie, rozglądając się wokół siebie, sycząc i powoli stąpając po drewnianej podłodze. Kiedy

osiągnęły korytka wypełnione paszą, zaczęły łapczywie jeść, zupełnie zapominając o obawach związanych z przebywaniem w obcym miejscu. Reszta grupy szybko dołączyła. Wchodziły do pływającej altany, rozpychając się i wzajemnie kłusząc.

Populacja gęsi zamieszkujących jezioro była stosunkowo liczna. Szacunkowo wynosiła około trzystu osobników. Odłowiono sto pięćdziesiąt osiem sztuk. Siedemdziesiąt sześć samców i osiemdziesiąt dwie samice. Ornitologowie rozpoczęli swoją pracę. Oznaczono pięćdziesiąt cztery samce, zakładając im, zarówno obrączkę zwykłą i OOP. Oprócz tego, od każdego z nich, pobrano próbki puchu, po czym dokonano pomiarów skrzydeł i masy ciała. Pracujący ludzie musieli być ostrożni. Osiągające prawie cztery kilogramy gęsi miały potężne, dochodzące do stu sześćdziesięciu centymetrów rozpiętości skrzydła i silne, wypełnione ostrą, zrogowaciałą tarką dzioby. Walcząc o wolność mogły być niebezpieczne. Na szczęście, pomiary zakończono bez większych kontuzji, nie licząc kilku siniaków.

Po krótkim odpoczynku rozpoczęli przenoszenie odłowionej zdobyczy do klatek transportowych. Do pomocy mieli kilkunastu robotników z przedsiębiorstwa rybackiego. Załadunek poszedł sprawnie.

Następnym zadaniem ekipy robotników było oczyszczenie zielonego domku i przygotowanie go do następnego, oficjalnego już odłowu. Mieli na to całe popołudnie. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, za kilkanaście godzin pułapka odpłynie na sąsiednie jezioro. Pracownicy kombi-

natu zostali przeszkoleni, w jaki sposób mają postępować, by zwabić ofiary do klatki. Wyglądało na to, że nikt inny nie interesował się prowadzonymi pracami. Robotnicy bez zbytniego zaangażowania wykonywali kolejne polecenia. Czar związany z emocjami uczestnictwa w niecodziennym przedsięwzięciu przysł, gdy zaczęła się rutynowa, kontrolowana przez zwierzchników, mozolna praca. Zasłyszane na porannym apelu słowa na temat ważkości pracy nad jeziorem puścili mimo uszu. Dla wieśniaków była to jeszcze jedna, propagandowa mowa, do czego zdążyli się już przyzwyczać.

Youan wydawała polecenia, Den otrzymał narysowaną na mapie trasę, Chales sprawdził warunki panujące w transportowych klatkach, zaś Bob otrzymał zadanie skompletowania dokumentacji dotyczącej wywożonych okazów. Po zakończeniu pracy miał wrócić nad jezioro i obserwować, czy ptaki przypadkiem nie powróciły.

Zaczynało się ściemnić, gdy dojechali. Przebycie niespełna osiemdziesięciu kilometrów zajęło im ponad cztery godziny. Dotarli nad małe jezioro, którego powierzchnia usiana była drobną rzęsą. Obfitość naturalnego pokarmu dawała nadzieję, że nowe miejsce będzie atrakcyjne do przygotowań związanych z odlotem na północ. Dodatkowo, by zatrzymać gęsi, na brzegu ułożono spory stos przygotowanej przez Charlesa karmy. Ostry zapach mączki rybnej rozniósł się po okolicy. Zwierzęta, które odzyskiwały wolność, po wypuszczeniu z klatek wzbijały się w powietrze, by po kilku sekundach wylądować na środku jeziora. Była

szansa, że intryga powiedzie się.

Amerikanin upierał się, aby osobniki złapane w kolejnym dniu także wypuścić na wolność, lecz spotkało się to z ostrą odmową Youan. Tłumaczyła, że odpowiedzialni za akcję pacyfikacyjną wojskowi, nabiorą podejrzeń. W ich dotychczasowe działanie wtajemniczony został jedynie brygadzysta, kuzyn Dena, który zgodził się zaryzykować za pieniądze. Naczelnik i pułkownik sądzą, że koszmarna kampania rozpocznie się dopiero jutro. Do gospodarstwa przysłał weterynarza, który będzie nadzorował prace. Nie mają innego wyboru. Muszą teraz pomagać w realizacji makabrycznego programu wdrożonego przez chińskie władze.

– Zaślepieni urzędnicy chcą zniszczyć tysiące niewinnych stworzeń i nijak nie można temu zaradzić.

– Już to przerabialiśmy – rzekła z sarkazmem.

– Co? Zabijanie bez potrzeby?

– Jesteś naukowcem. Powinieneś to zrozumieć. W okolicy znaleziono sporą liczbę chorych zwierząt. Tu już nie kilka, a kilkadziesiąt osobników z wyraźnymi objawami infekcji. Podejrzewa się, że zarażone są groźnym dla ludzi wirusem. To dodatkowo przekonało władze do podjęcia takich kroków.

– Podejrzewa się, być może – to tylko przypuszczenia..

– Większość gatunków kaczkowatych jest już przygotowana do opuszczenia chińskich jezior. To fakty. Osobniki, które są zainfekowane, mogą siać zakażenie na swojej drodze. Decyzja może jest nieco przesadzona, ale nie ma już czasu na sprawdzenie, czy ptaki są nosicielami zabójczego

patogenu. Ludzie odpowiedzialni za zdrowie mieszkańców Okręgu boją się epidemii śmiertelnej zarazy.

– Ty akceptujesz decyzje idących na łatwiznę decydentów?

– Chyba tak. Tu są Chiny. Jeżeli nie wykonają poleceń, a zdarzy się to, co najgorsze, marny będzie ich los.

– Na pewno ich pozabijają – powiedziane ironicznym tonem słowa dotknęły dziewczynę. Co Amerykanin wie o panującym w Państwie Środka prawie? Nic. Wszystko ocenia na podstawie własnego, wyniesionego z USA doświadczenia.

– Jest wielce prawdopodobne, że zostaliby skazani na karę śmierci – odpowiedziała, cedząc poszczególne sylaby, tak, aby wzmóc efekt wypowiedzianych słów.

– Nie wierzę. Skoro widzisz realne niebezpieczeństwo, zastanawia mnie, dlaczego z takim zaangażowaniem zorganizowałaś podstęp, dzięki któremu wypuściliśmy spore stado.

– Już ci mówiłam. Trzeba koniecznie dowiedzieć się, gdzie wysiadują jaja.

– Aby tam dokończyć dzieła zniszczenia?

– Jeżeli okaże się to konieczne, tak.

– Dla kogo ty pracujesz? – zdziwił się, patrząc dziewczynie prosto w oczy.

– Nie rozumiem, o co pytasz? – lekceważąco wzruszyła ramionami.

– Dla kogo jeszcze pracujesz? – powtórzył z naciskiem.

Minęła długa chwila zanim odpowiedziała. Zdała sobie

sprawę, że Charles nabrał podejrzeń. Powiedziała za dużo. Nie było sensu się wypierać – i tak nie uwierzy.

– Umówmy się, że teraz o nic nie pytasz – oświadczyła, mówiąc powoli. – Mamy wspólne cele i to musi wystarczyć. W odpowiednim czasie o tym porozmawiamy, dobrze?

– Chcę wiedzieć teraz..

– Po prostu wiem trochę więcej niż ty. – Po powrocie do Stanów wyjaśnię ci to nieco dokładniej – dodała, chcąc załagodzić sytuację.

– Chcę to usłyszeć teraz.

– Dobrze, ale powiem tylko tyle, że nasza misja jest kontrolowana przez specjalną komórkę resortu zdrowia USA. Nasz rząd dba o swoich obywateli.

– Aby mieć pewność, gdzie polecą zakażone ptaki?

– Proszę, nie naciskaj mnie więcej.

– A jeśli wygadam to wszystko? – syknął ze złością. – Powiedzmy, zgłoszę się do ciekawskiego redaktora poczytnej gazety i opowiem mu ciekawą historię?

– Sam nie wierzysz w to, co mówisz.

– Na jakiej postawie tak sądzisz?– zapytał zaczepnie. Youan mu nie odpowiedziała. Odwróciła głowę w stronę zachodzącego słońca.

Boba nie było w domu. Nie było także pneumatycznej łodzi. Nie bacząc na zmęczenie, rozpoczęli poszukiwania kolegi. Bezchmurne niebo usiane tysiącami gwiazd dawało na tyle dużo światła, że można było poruszać się bez użycia latarki. Pożyczyli od rybaków dużą, stabilną łódź i wypłynęli

na jezioro. Zbliżyli się do miejsca, gdzie zastawiona była pułapka. Youan zauważyła pogniecione trzciny. Dalej również rosnące rośliny odchyłały się nieco od pionu. Wyglądało to na szlak, który niedawno przebyła łódka. Popłynęli w tamtym kierunku. Zaczęli wołać kolegę, ale bez skutku. Wpłynęli w zarośla. Po prawie pięciu minutach przedzierania się przez chaszczę, dotarli do miejsca, w którym powierzchnia jeziora nie była porośnięta. Na powierzchni wody unosił się ponton, a w nim szlochający Bob, tulący do siebie dwa martwe ptaki.

Chinka wyjęła z podręcznej torby gumowe rękawiczki, gruby worek foliowy, mydło i płyn służący do dezynfekcji. Wyjęła z rąk Amerykanina dwa dorodne okazy; samca i samicę. Ostrożnie włożyła je do worka, po czym dokładnie umyła ręce. Biała piana pokryła powierzchnię wody. Kiedy skończyła, połała dłonie płynem do dezynfekcji i ponownie użyła mydła. Zwróciła się do Boba:

– Ty musisz zrobić to samo. Te zwierzęta prawdopodobnie padły na ptasią grypę. Musisz się dokładnie umyć.

– Zabili je – wciąż łkał otyły naukowiec. Zabili biedne, niewinne stworzenia.

– Nikt ich nie zabił – odpowiedziała spokojnie. – Jak do tej pory, oddział pacyfikacyjny nie opuścił koszar. Weź się w garść. Narażasz i siebie, i nas na niepotrzebne ryzyko zakażenia i zachorowania.

– Zostawcie mnie – odpowiedział z naciskiem. – Mogę zrobić to, na co mam ochotę.

– Niestety nie – wtrącił się Charles. – Obowiązuje nas

współodpowiedzialność. Będziesz zatem robił to, co zagwarantuje nam bezpieczny powrót do domu. Czyli to, co ja ci każę.

- A jeżeli odmówię?

- Wtedy będę musiał użyć siły.

- Zmusisz mnie? Ciekawe, w jaki sposób?

- Dostaniesz lanie. Użyję do tego pięści, po czym skopię ci tyłek. Będziesz się wstydził przed Youan. A teraz zdejmuj ubranie i umyj się porządnie.

Bob ociągał się. Powoli rozpiął koszulę, która została umieszczona w worku z martwymi ptakami. Próbował zdjąć spodnie, manewr okazał się jednak zbyt trudny. Zachwiał się i nagle prawa burta znalazła się pod wodą. W jednej chwili łódź wypełniło kilkaset litrów mętnej cieczy a Bob z głośnym pluskiem wpadł do jeziora. Kiedy mężczyzna stopami dotknął dna, przeraził się. Było grząskie. Natychmiast zapadł się w szlam po kolana, uwalniając przy tym tysiące bąbli cuchnącego gazu. Powietrze wypełniło się niemiłym zapachem. Muł zasysał ciało człowieka powoli, aczkolwiek bezustannie wciągając go coraz głębiej. Wpadł w panikę. Zaczął się szarpać, próbując uwolnić nogi z mazi. W konsekwencji zanurzył się jeszcze bardziej. Nad powierzchnią wody widać było jedynie ramiona i głowę tonącego Amerykanina. Było oczywistym, że bez pomocy nie da sobie rady.

Youan zareagowała błyskawicznie. Miała duże doświadczenie w udzielaniu pomocy tonącym. Wychowana nad jeziorem, nauczyła się wielu praktycznych rzeczy. Jako starsze dziecko osobiście uczestniczyła w połowach z uży-

ciem sieci, potrafiła też doskonale nurkować, a także pływać prymitywnymi łódkami. Już będąc w Stanach przeszła przeszkolenie w prowadzeniu działań w warunkach ekstremalnych, uzyskując certyfikat kierownika drużyny ratowniczej. Potrafiła przewidywać i niezmiernie szybko podejmowała decyzje. Dzięki niej amator fast foodów miał szanse pozostać przy życiu.

Do koła ratunkowego przymocowali grubą linę. Podpłynęli do Boba, koło podłożyli mu pod plecy a liną owinęli ramiona. Sprzęt ratunkowy miał wyporność osiemdziesięciu kilogramów. Dzięki temu zyskali na czasie, ciało kolegi już się nie zanurzało głębiej a oni mogli przedsięwziąć dalsze kroki. Zamocowali końcówkę liny na rufie łodzi. Teraz wszystko zależało już tylko od siły i wytrwałości Charlesa. Naprężył mięśnie i uderzył wiosłami w wodę. Kiedy ciągnął do siebie drewniane rączki, unosił się z ławki, wykorzystując przy tym ciężar własnego ciała. Jęczał z wysiłku, ale nie dawał za wygraną. Dziewczyna tymczasem instruowała Boba, co ma robić. Z determinacją zaczął płynąć crawl, używając do tego jedynie rąk. Fontanny wody unosiły się do góry. Po pewnym czasie siła ssąca mułu została zrównowazona. Usłyszeli dźwięk odsysanego z nóg mężczyzny szlamu. Na powierzchni ponownie pojawiły się tysiące małych bąbli uwalniających do atmosfery gaz o przykrym zapachu. Zwalisty tułów naukowca ukazał się w całej swojej okazałości. Po kilku minutach niedoszły tobielec leżał na pokładzie łódki.

